

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

19

— Ach! Gdybym była wcześniej o tem wiedziała! — jęknęła Berta.

— Tak, ale nie wiedziała pani! Tylko, u diabła, czy sądzi pani, że ta sprawa tak lekko się zakończy? Nieświadomość twoja, śliczna panno Berto, nie uchroni cię przed zarzutem współnictwa, a co do pana Lambertin, to ten otrzyma kilka lat ciężkiego więzienia.

— Mój Boże! — rozpaczła Berta — Czy ja mogłam coś podobnego przypuścić. Powiedziano mi tylko, że mam zbałamucić młodego chłopca z prowincji, otrzymać od niego dokument, z którego treścią zapoznać się chciało i przepisać. Oto wszystko. Nic więcej poza tem nie wiedziałam.

— Nie wątpię w to.

— A teraz, pan mówi — jęknęła się młoda kobieta — że... mój Boże, co robić?

Cyprian Leduc zdawał się nad czemś głęboko zastanawiać, a w rzeczywistości bacznie obserwował jej zachowanie się.

— No, no! — rzekł po chwili pewnym głosem — Nie trzeba zaraz tracić przytomności umysłu. Należy działać. Czy chce mi pani naprawdę dopomóc do naprawienia złego, wyrządzonego lekkomyślnie przez panią?

— Pan się jeszcze pyta? Czego pan żąda? — zawołała gorączkowo Berta.

— Prawie nic.

— Oh! Niech pan mówi! Niech pan mówi! Jeżeli jest sposób do wyratowania tego biedaka, który mi zaufał, nie cofnę się przed niczem, zaręczam panu.

— Taki sposób istnieje!

— Chwała Bogu!

— Zależy pani naprawdę na Lambertin'ie?

— On jest taki dobry! — wyszeptowała, rumieniąc się, młoda kobieta — I kocha mnie tak bardzo!

— A więc opuści pani Paryż.

— Z nim?

— Z nim, naturalnie. Czy ma pani dosyć pieniędzy?

— Mam.

— Gdyby ich pani nie miała, to dostarczy się ich. Pojedzie więc pani...

— Kiedy?

— Zaraz.

— I gdzie się mam udać?

— Do Hawru.

— Co za dziwny bieg okoliczności. On właśnie chciał jechać do Hawru, żeby stamtąd udać się do Ameryki.

— A więc teraz pojedzie nie sam, tylko w towarzystwie pani. Zamiast jednak jechać do Ameryki, udacie się do Ingouville, gdzie nad brzegiem morza wynajmiecie odosobniony domek i tam nadal żyć będziecie, jak para kochających się gołąbków. Jakże się pani ten projekt podoba?

— Ach! Mój Boże! Jaki on będzie szczęśliwy!

— Miejmy nadzieję, że i pani na szczęście również zbywać nie będzie. Jednakże jest jeszcze ważny bardzo warunek.

— Proszę, niech pan mówi.

— Jak raz już zamieszkacie w Ingouville, już się stamtąd nie ruszycie i pozostaniecie.

— Jak długo?

— Zostaniecie tam, aż ja sam przybędę uwolnić was. Zgadza się pani?

Berta pochwyciła rękę starego archiwisty i uściskała ją mocno.

— A jeżeli zgodzę się na ten warunek — rzekła proszącym, miłym głosem — przyrzeknie mi pan, że już nigdy o tej nieprzyjemnej historii słyszeć nie będę?

— Jeżeli pani uczyni tak, jak tego żądam — odpowiedział Cyprian Leduc — to przysięgam pani, że się wam obojgu nic złego nie stanie.

— Oh! Jakże panu wdzięczną będę! — zawołała gorąco Berta.

— Skończyliśmy już więc na razie ze sobą — rzekł stary archiwista, pukając równocześnie w szybę i dając znak stangretowi, aby konie zatrzymał — Niech tylko pani nie zapomni o zleceniach moich, a wszystko będzie dobrze. Oto mój bilet wizytowy. Napisz do mnie, moje dzie-

cko, jak tylko przybędziecie do Hawru i czekajcie w waszym gniazdku cierpliwie, aż się zjawię u was, lub dam jakiś znak życia.

— Uczynię wszystko, co pan zechce! — odpowiedziała Berta, uśmiechając się wesoło — Dzięki panu, wielki ciężar spadł mi z piersi.

— Do widzenia więc, moje dziecko — rzekł Cyprian Leduc.

Wysiadł z powozu i pożegnawszy życzliwie młodą kobietę, oddalił się spiesźnie.

Po odejściu Berty, pułkownik Robert pozostał długą chwilę zamyślony i skupiony w sobie.

Wielka radość lubi być przeżywana w milczeniu, a pułkownik w tej chwili czuł się szczególnie.

Wszystko składało się jak najlepiej i śmiało mu jego przedsięwzięciu nie groziło już żadne niebezpieczeństwo.

Uczył bowiem Oliwie i barona d'Esclairs zupełnie nieszkodliwymi dla siebie i miał nadzieję uzasadnioną, iż niedługo znikną mu już z oczu na zawsze, a prawa owego spadkobiercy Bonnetta nie istniały wcale przez zniszczenie testamentu. Pozostawała tylko Gilberta, ale tę trzymał w swojej mocy i mógł w każdej chwili łatwo nagiąć do swojej woli.

A zresztą, gdyby się nawet mu opierała, znajdzie środek, aby ją ubezwładnić i uczynić powolną swoim zamiarom.

Pułkownik Robert nie należał do ludzi, którzy cofnąć się mogą przed czymkolwiek gwałtownym i brutalnym, jak tego już dał niejednokrotnie dowody. Teraz miał on przed sobą ostatni krok do przebycia i nie było mowy o wahanii się. Stać się musi to wszystko, co zamierzał i do czego dążył dotąd z zuchwałością i energią, które zawieść go nie mogły.

Czoło pułkownika Roberta jaśniało radością i wewnętrznym zadowoleniem, oczy błyszczały głębokim ogniem.

Czuł się silnym i wielkim, bo umiał zapanować nad wszelkimi przeszkodami, stojącymi na jego drodze do zdobycia szczęścia i majątku.

Po śniadaniu, około godziny pierwszej, zszedł do ogrodu. Wydał był rozkaz, aby zaprzęgnięto do powozu na godzinę drugą. Tymczasem więc przechadzał się po ścieżkach, pałac cygaro.

Dziwne pragnienie opanowało go nagle. Chciał odwiedzić Cypriana Leduc i już napróżd śmiał się z jego niepowodzenia i zmieszanej miny, kiedy ujrzy go, wchodzącego do siebie.

Pułkownik Robert miał wiele uznania dla mądrości starego archiwisty, ale doznawał niewypowiedziane przyjemnego uczucia tryumfu na myśl swojego zwycięstwa.

Już odtąd Cyprian Leduc nie mógł być niebezpiecznym dla niego, już nic złego przeciw niemu przedsięwziąć nie mógł!

Wraz ze zniknięciem testamentu, jeden tylko winowajca wypływał na widownię i mógł być poszukiwany przez władze policyjne. Tym człowiekiem był pomocnik notariusza Durandea — Lambertin.

Co najwyżej, może wciągnięto by Bertę do sprawy, jako współdziałającą. To zaś było zupełnie obojętną kwestią dla pułkownika. Czyż wobec opinii publicznej i władz słowo takiej dziewczyny mogło zaważyć cośkolwiek i rzucić cień choćby podejrzenia na niego, człowieka znanego i stojącego na tak wybitnym socjalnie stanowisku.

Nie było nawet nad czem się zastanawiać. Zresztą podczas śniadania pułkownik otrzymał bilecik od młodej kobiety, następującej treści:

„Wyjeżdżam z nim. Wsiadamy na pociąg, idący do Hawru. Zegnam pana...”

Czyż mógł żądać czegoś więcej?

Widocznym było, że Lambertin nie czuł się bezpiecznym we Francji i obawiając się pościgu udawał się do Ameryki, namówiwszy Bertę, aby mu towarzyszyła w tem przymusowym wygnaniu.

Pułkownik podziwiał siłę miłości wybuchającą nagle w sercu tej kobiety lekkomyślnej i próżnej, jak sądził i rad był bardzo ze siebie, że potrafił tak bez trudu pozbyć się w krótkim czasie tych współników, których obecność na miejscu mogła się wkońcu stać kompromitującą.

A teraz, kiedy taka przestrzeń dzielić ich będzie, cóż mu z ich strony grozić może?

— Wszystko jest dobre, co dobrze się kończy. — zauważył, uśmiechając się.

Przechadzał się więc po ogrodzie, pałac cygaro i reasumując w myśli wszystkie te wyda-

żenia tak szczęśliwie składające się dla niego, kiedy w pewnej chwili podszedł do niego służący i podał mu na tacy bilet wizytowy.

— Co to jest? — zapytał pułkownik.

Spojrzał na kartę i drgnął mimowoli. Wy- czytał na niej bowiem nazwisko Cypriana Leduc.

— Czy ta osoba tu jest? — zapytał.

— Jest. Czy pan chce ją przyjąć?

— Zapewne, zapewne. — wycedził powoli pułkownik — Przyprowadzić ją tutaj.

Służący odszedł i za chwilę sprowadził starego archiwistę.

Pułkownik wyszedł na jego spotkanie, uśmiechając się uprzejmie.

— Jakże to grzecznie z pana strony — wyrzekł — że pan pomyślał o oddaniu mi wizyty. Właśnie miałem zamiar udać się teraz na ulicę Abbaye.

— Naprawdę? — odparł Cyprian Leduc.

— Tak jest. Już dawno nie miałem przyjemności porozmawiania z panem... a zdawało mi się, że pan ma bardzo ciekawe rzeczy do zakomunikowania mi.

— Rzeczywiście.

— Czy w tym celu przyszedł pan do mnie?

— Tak, w tym celu.

— Może pan woli, abyśmy weszli do mieszkania? — zapytał grzecznie pułkownik.

— Po co. Jest tu nam bardzo dobrze, chyba może pan woli...

— Ja? Och! Ja lubię bardzo świeże powietrze, bo jestem do niego od dziecka przyzwyczajony. Jeżeli pan chce, usiądźmy sobie w tej altance i porozmawiamy całkiem swobodnie.

Mówiąc to, pułkownik poprowadził gościa do oznaczonego miejsca, a kiedy usiedli, wpatrzył się w niego badawczo, zaintrygowany niezmiernie temi nieoczekiwanymi odwiedzinami.

— A więc — rozpoczął po chwili, lekko zniecierpliwiony, widząc, że Leduc milczy — Jesteśmy sami. Pan ma mi coś do powiedzenia, słucham, Stary archiwista uśmiechnął się lekko.

— Przyszedłem tutaj nie przez prostą ciekawość, kochany pułkowniku, ale dlatego, że mam do uczynienia panu parę wymówek.

— Wymówek? Mnie?

— A komużby innemu?

— Nie rozumiem pana.

— Czy pan już zapomniał o ostatniej naszej rozmowie, która miała miejsce w Belleville, w nocy, a której wynikiem była umowa między nami zawarta. Wszak pan tę umowę zaakceptował w zupełności, o ile sobie przypominam.

— Tak jest, przypominam sobie doskonale tę naszą rozmowę. — odpowiedział pułkownik.

— Jednakże pan naszej umowy nie dotrzymał.

— Dlaczego pan tak sądzi? Może się pan myli, panie Leduc. Czy uczyniłem coś takiego, co by pozwoliło panu tak przypuszczać?

— A, mój Boże! — uśmiechnął się dobrodusznie stary archiwista — A podróż odbyta przez pana niedawno do Marsylii w towarzystwie tej sympatycznej dziewczyny, Berty?

Pułkownik zadrżał i słuchał z natężeniem dalszych słów.

Ale Cyprian Leduc zamilkł i zapalił papierosa.

— Pan wiedział o tej podróży? — zapytał wkońcu pułkownik, chcąc przerwać nieprzyjemne dla niego milczenie.

— Wiem, że udał się pan do Saint-Nicolas, że korzystając z nieobecności notariusza pana Durandea, wszedł pan w stosunki z panem Lambertin, że opanował pan z ręce tego chłopca przez pośrednictwo osoby drugiej i środkami, przeciw którym oburzyłaby się może moralność publiczna...

— Co tam o środki użyte — przerwał pułkownik — jeżeli doprowadziły do wygranej, tak, jak jest w tym wypadku.

— Nie zaprzeczam, nie zaprzeczam. — bąknął Cyprian Leduc.

— A więc, do czego pan dąży?

— Zaraz, zaraz, cierpliwości, kochany panie! Idźmy dalej. W dwa dni po pana bytności w Saint-Nicolas pan Lambertin opuścił nagle biuro pana Durandea i przybył do Paryża, aby połączyć się z młodą kobietą, której uroda i kokieteria odebrały mu zupełnie przytomność umysłu.

— Przyzna pan jednakże — rzekł pułkownik — że te sprawy nie obchodzą mnie wcale.

(Ciąg dalszy nastąpi.)